

Henryk Kuczkowski

W czasie wybuchu Powstania Warszawskiego o godz. 17-tej w dniu 1 sierpnia 1944 roku przebywałem na terenie Zakładu Wychowawczego w Warszawie przy ul. Barskiej 4, w którym to zakładzie przebywało ponad 100 chłopców - sierot wychowanków księży Orionistów, sprowadzonych przez założyciela Domu Dziecka ks. Franciszka Toporskiego.

Na terenie Zakładu stacjonował oddział wojsk niemieckich z dywizji „Herman Goering” sprowadzonych z Włoch w celu udzielenia pomocy na froncie wschodnim. Toteż od samego początku powstańcy zaatakowali nasz dom, było ostre strzelanie i po trzech godzinach Niemcy zostali wykurzeni z naszego terenu, a wychowankowie czynnie pomagali powstańcom, wynosili rannych z pola walki, wynosili z samochodów niemieckich zdobytą broń, amunicję i inne urządzenia wojskowe oraz żywność przeznaczoną dla jednostek wojskowych, stacjonujących w różnych częściach miasta. Po zdobyciu Zakładu powstańcy odeszli na punkt zborny na ul. Niemcewicza i stamtąd następnego dnia opuszczali Ochotę idąc w kierunku Lasów Kabackich. Niestety oddziały niemieckie zaatakowały ich na odcinku Pęcice, gdzie zostali zdziesiątkowani, wówczas bardzo dużo poległo powstańców, wśród nich żołnierze, którzy uczestniczyli w zdobywaniu naszego domu.

Po trzech dniach Niemcy zaatakowali czołgami nasz Zakład, jednakże zastali w schronie wyłącznie mieszkańców tego domu, a więc księży, siostry i wychowanków. Wśród ludzi znajdujących się w schronie byli także ranni niemieccy żołnierze (oficerowie, dzięki którym uratowaliśmy się od niechybnej śmierci). Atakujący Niemcy usłyszawszy krzyk niemieckich rannych żołnierzy odrzucili na bok rozpieczętowane granaty w drugą stronę i dzięki temu nie doszło do masowej masakry. Wyprowadzono nas ze schronu na podwórko z podniesionymi rękoma i dowiedziawszy się od rannych Niemców, że mieli dobrą opiekę lekarską, darowali nam życie.

Zaprowadzili nas do Domu Akademickiego na pl. Narutowicza, gdzie leżało 5-ciu zabitych Niemców i nam powiedzieli, że za każdego jednego zabitego Niemca zostanie z nas rozstrzelanych 10-ciu Polaków.

W Akademiku byliśmy traktowani jako zakładnicy. Umieszczono nas w malutkich pokojach, nie dawano jedzenia, tylko podtrzymywano nas przy życiu dając nam raz dziennie napój, tj. lura z kawy zbożowej. Wśród zakładników byli również mieszkańcy z pobliskich domów z ul. Grójeckiej. Codziennie odbywały się egzekucje na podwórzu w Akademiku, z okien widzieliśmy jak na podwórzu ludzie zakopywali zabitych Polaków.

Po paru dniach głód opadały nam siły, nie mogliśmy się podnosić, oczy zachodziły mgłą. Jednak po 6-ciu dniach zwolniono nas z Akademika wyprowadzając na ul. Grójecką do słynnego „Zieleniaka”. Tam działy się orgie, własowcy rabowali co się dało, zdejmowali buty, zabierali zegarki i wszystko, co im do ręki wpadło.

W drodze od Akademika do „Zieleniaka” prowadzili nas żandarmi niemieccy. Byli oni bezsilni wobec Ukraińców-własowców, którzy wdzierali się do tłumu zmierzającego na „Zieleniak” i rabowali co się dało, szukali złota. Widziałem jak trzech własowców tratowało człowieka, który był podobno potomkiem Czarnieckiego. Gdy padł na ziemię, jeden kopał go w głowę i zabił na miejscu, wtedy zabrali mu woreczek ze złotem.

Na „Zieleniaku” byliśmy dwa dni, nad ranem widzieliśmy stosy zabitych, zgwałconych kobiet przez dzicz ukraińską. Z „Zieleniaka” Niemcy przeprowadzili nas na Dworzec Zachodni i tam w wagonach bydłęcych przywieźli nas do Pruszkowskich Zakładów Kolejowych. Tam już otrzymaliśmy trochę żywności i to głównie od miejscowej ludności, która rzucała przez płot chleb, warzywa i inne artykuły żywnościowe.

W hangarach byliśmy dwa dni, a potem wywieziono nas wagonami bydłecymi (po 50-60 osób w wagonie) do Niemiec. Jechaliśmy prawie tydzień i wreszcie wyładowano nas w miejscowości Bietigheim, gdzie znajdował się obóz przejściowy, w którym mieściło się przeszło 3 tysiące ludzi różnych narodowości (Włosi, Czesi, Polacy, Rosjanie i inni).